Rok V. Myślenice, wrzesień 1936. Nr. 1.

GŁOS MŁODYCH

ORGAN GMINY SZKOLNEJ PAŃSTW. GIMNAZJUM KOEDUKACYJNEGO
im. TADEUSZA KOŚCIUSZKI w MYŚLENICACH.

Poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę gmachu Państwowego Gimnazjum w Myślenicach.

Dnia 6. września bież. roku odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę gmachu dla naszego gimnazjum.

W obecności p. wojewody krakowskiego dra Michała Gnoińskiego oraz przedstawicieli Kuratorium krakowskiego pp. naczelnika Gałeckiego i wizytatora Komara dokonał aktu poświęcenia kamienia węgielnego ks. dziekan dr. Kościółek, przy czym w głębokim przemówieniu scharakteryzował wartość rozpoczętego dzieła. Po przemówieniach starosty powiatowego p. Basary i burmistrza p. Jana Dunin-Brzezińskiego wmurowano w pobłogosławiony kamień pamiątkowy akt erekcyjny.

W ten sposób rozpoczęto budowę gmachu dla naszego Zakładu, którego brak tak dotkliwie odczuwała kształcąca się tu młodzież. Dlatego z wielką radością uczestniczyliśmy w tym uroczystym akcie, bo teraz już jesteśmy pewni, że częściowo jeszcze my, a w całej pełni nasi następcy będą korzystać ze wspaniałego, nowoczesnego gmachu i kształcić się w lepszych warunkach pracy.

Komitetowi Budowy, który tak energicznie podjął to dzieło, mające niezwykle doniosłe znaczenie dla naszego miasta i powiatu, życzymy serdecznie:

Szczęść Boże!

Gdzie my?

Jest piękny jesienny wieczór. Na granatowym płacie nieba, powyrywanym przez rysujące się kontury gór i drzew, radośnie migocą gwiazdy.

Siedzę wygodnie na ławce i łączę mój słuch z odgłosami jesiennego wieczora.

Przez otwarte okno ukrytego między drzewami domu wykradają się fale radiowej muzyki i wpadając w ucho wywołują pewne myśli i wspomnienia.

Z wprost przeciwnej strony słychać jakiś odczyt basowego prelegenta.

Daleko na drodze turkoczą nieustannie wozy i człapią końskie kopyta.

Ulicą idzie szybko kilku przechodniów i rozprawia coś z cicha lecz żywo. Wnet jednak zasłania ich mimo świecącej lampy tuman pyłu, wyrzuconego spod kół znikającego na skręcie samochodu. Coraz szybciej przesuwa się przed oczami galeria obrazów tak widzianych jak też podyktowanych wyobraźni przez słuch.

Staram się teraz wszystko równocześnie usłyszeć. To wre i kipi życie dwudziestego wieku. Pędzi naprzód z zawrotną szybkością, zmechanizowane i sztuczne. Atmosfera nie może już pomieścić prądów i myśli, w niej płynących. Silniejsze zagłuszają słabsze i ostre jak diament krający twarde szkło wrzynają się w mózgi i odsłaniają coraz to dziwniejsze tajniki stworzenia. Świat jest w szalonym ruchu.

Każdy powie: cóż w tym dziwnego? XX. wiek! — No, tak. Mnie zastanowiło jednak co innego. Gdzie jesteśmy wśród tego ruchu my? Jakież miejsce w tym prądzie życia zajmujemy my, z naszym światem gimnazjalnym? Czy dążymy naprzód razem z czasem, który tak szybko ucieka?

Zdaje mi się, że nie. Stale widać opóźnianie się, pozostajemy coraz bardziej w tyle, chociaż niektórym wydaje się inaczej. Przechodzimy obok całej masy zjawisk i przeróżnych wypadków, jak gdybyśmy ich nie widzieli, ospali jący i apatyczni. Dlatego tak często słychać: „ponuro, nudno, jednostajnie".

Bo nie umiemy patrzeć na świat jak należy. I dlatego tak trudno jest nam zdobyć się na samodzielną myśl. Weźmy drobny przykład. Choćby tę naszą gazetkę szkolną. Ile trudu wymaga pozyskanie artykułów! „Ja nie mam co pisać" — słyszy się najczęściej. Naturalnie!

Czego się nie widzi ani nie czuje, o tym pisać trudno. A tych milczących posągów, nieczułych na żadne pobudki wewnętrzne i zewnętrzne jest coraz więcej.

A przecież sił mamy dosyć, by dorównać tempu obecnego życia — a nawet je prześcignąć.

Cele mamy przed sobą jasne, znaczone naszą przyszłą rolą w życiu nowej, odrodzonej Polski. Przed ich blaskiem nie wolno nam zasłaniać oczu. Wpatrzeni w nie dążmy całą mocą do uzewnętrznienia, do uczynnienia naszych sił duchowych. Wszak przeszłość do starych — przyszłość do młodych należy!

St. Kiczmal (VII).

Z wakacyjnej włóczęgi.

(Wspomnienia z obozowej wycieczki harcerek).

W miarowym stukocie kół, biegnących szlakiem stalowych szyn w dal, w szalonym pędzie aut „z wichrem w zawody“, w lekkim skrzypie wozów, sunących po miękkich, piaszczystych drogach Suwalszczyzny zostawiłyśmy za sobą setki, setki kilometrów.

Zniosłyśmy dole i niedole koczowniczego życia i wzbogaciłyśmy potężnym kapitałem wrażeń nasze skarbnice wspomnień.

Poznałyśmy choć w części cudny kraj Mickiewicza, Orzeszkowej-kraj melancholijnych równin, pagórków lesistych, jezior pełnych czaru i rzek spokojnych a potężnych.

A ile miast i miasteczek poznałyśmy w tej naszej wakacyjnej wędrówce „w nieznane“!

Więc najpierw Augustów, miasto szczycące się swym królewskim założycielem i — niestety — zbyt dobrze jeszcze pamietające twardą rękę zaborcy — miasto dobrze znane z przecudnych wprost okolic.

Łańcuch jezior opasuje je stalowo błękitną masą wód. Na czarnej powierzchni kanału szeregi tratw, las żaglówek i łodzie, nieskończona ilość kajaków. Z błękitno-szarą barwą jezior rywalizuje o piękno szmaragd pól i ciemna zieleń lasów, dając piękny, niezapomniany obraz.

Te ogromne masy wód, jeziora: Rozpuda, Białe i Necko, połączone w jedną prawie całość, kanał Augustowski, rzeka Netta — to raj dla żeglarzy. Nic więc dziwnego, że gwarno tu i rojno podczas gorących dni lata.

A potem — Suwałki. Ładne, spokojne miasto. W szeregu domów jednej z ulic miasta mały, skromny domek zwraca na siebie uwagę prostym, lecz wiele mówiącym napisem: „Tu mieszkała Maria Konopnicka".

U wjazdu do miasta Czarna Hańcza, przedziwnie czarna i tajemnicza, toczy swe wody.

Z kolei Grodno. Tu w małym, drewnianym domku mieszkała i umarła Eliza Orzeszkowa. Tutaj w parku stoi pomnik, wzniesiony ku czci tej wielkiej pisarki. Lecz miasto na pierwszy rzut oka robi przygnębiające wrażenie. Szeregi domów prostych, ponurych jak mury więzienne, przypominają zbyt silnie rządy zaborcy. Mówią o tym pozłacane kopuły cerkwi, bogatej we wspaniałe ikony, drogocenne malowidła i obrazy, z których na gromadkę „prawowiernych", zbierających się na nabożeństwa, patrzą surowe oczy Mikołaja Cudotwórcy. Mówi o tym mowa rosyjska, słyszana — chociaż rzadko już — na ulicy, typy Żydów rosyjskich, których tu nie brak i taki błahy szczegół jak napisy rosyjskie na brukach ulic, nie starte jeszcze zębem czasu. Potężne mury zamku Stefana Batorego przywodzą na pamięć dzieje owego pamiętnego a haniebnego sejmu z 1793 roku, gdzie znów na niekorzyść przesądzono sprawę polską.

U stóp zamku płynie Niemen. Ten przedziwnie błękitny, ten z powieści Orzeszkowej. Majestatyczny, spokojny, ma tyle uroku, że oczu od niego oderwać nie można. Wije się wstęgą błękitną wśród wzgórków lesistych, by zginąć z oczu na zakręcie.

A wreszcie Wilno. Niesposób opisać wrażenie, jakie zrobiło na nas to miasto prześlicznych, bogatych kościołów, miasto tylu, tylu drogich pamiątek.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Kto był założycielem Wilna i kiedy zostało założone — nie wiadomo. Wiadomym jest tylko fakt, że w roku 1322. wielki książę Giedymin zbudował tutaj swój zamek i przeniósł stolicę. W XV. wieku za zgodą króla Aleksandra otrzymało miasto mury. Z miasta prowadziło osiem bram, z których jedna nazwana została Ostrą, gdyż w tym miejscu mur tworzył ostry klin. Gdy Wilno dostało się w ręce Rosjan, zburzono stare zamczysko Giedymina (dziś sterczy tylko jedna baszta), pałac królewski, mury i bramy miasta. Ocalała tylko Ostra Brama.

I dziś z kaplicy Ostrobramskiej patrzą na miasto i cały kraj święte oczy Marii z cudownego obrazu.

Z kaplicą Ostrobramską łączy się kościół ostrobramski św. Teresy. Naprzeciw tego kościoła ciągnie się długi czworobok budynków klasztoru O. O. Bazylianów.

Dziś w zabudowaniach klasztoru mieści się Związek Literatów Wileńskich. Mieści się w salach, które kiedyś za czasów Nowosilcowa służyły za więzienie. Tutaj to znajduje się owa słynna „cela Konrada". Tutaj po wykryciu Tow. Filaretów więziono przez pół roku prawie Mickiewicza, aż do chwili, gdy na mocy wyroku opuścił ukochaną Litwę, by już nigdy do niej nie powrócić. Dziś cela Konrada — to muzeum Mickiewicza. Każdy przedmiot łączy się ze wspomnieniem jego osoby: krzesło kryte czerwonym pluszem, starodawny klawikord, na którym zapewne grała nieraz poecie Maryla Wereszczakówna. Uwagę zwraca duża, marmurowa tablica ze złotym napisem:

D. O. M.
Gustavus
obiit M D C C C XXIII. Calendis Novembris.

Hic natus est
Conradus
M D C C C XXIII. Calendi Novembris.

Zbyteczną jest chyba rzeczą dodawać, jak wielkie wrażenie sprawiają te pamiątki.

W głębi Zaułka Litewskiego stoi duży, narożny dom. Nad bramą napis głoszący, że mieszkał tutaj jako student Adam Mickiewicz. Tutaj więc powstały jego pierwsze utwory młodzieńcze, tu dojrzewała myśl założenia Towarzystwa Filomatów i Filaretów. — Ze wspomnieniami o Mickiewiczu łączy się też Uniwersytet Wileński. Olbrzymi, wspaniały gmach, zamknięty czworobokiem ulic.

Przy ulicy Świętojańskiej, tworzącej jeden bok tego czworoboku znajduje się kościół uniwersytecki św. Jana. Zbudowany przez Władysława Jagiełłę w roku 1388. został w roku 1826. na polecenie władz uniwersyteckich całkowicie przerobiony, ale jakkolwiek utracił wiele ze starożytności przez owe przeróbki, należy do najpiękniejszych kościołów. Z nim łączą się wspomnienia o Mickiewiczu, Słowackim i o Moniuszce, który przez kilka lat był tu organistą. Tutaj znajduje się nagrobek Mickiewicza, Syrokomli, popiersie Moniuszki; w tym kościele obchodzono po raz pierwszy rocznicę Konstytucji 3-go Maja.

Godną widzenia jest aula uniwersytecka. Z głównej ściany auli patrzą na salę z portretów oczy Stefana Batorego, założyciela uniwersytetu i oczy Józefa Piłsudskiego. Między portretami lśni biały orzeł na amarancie sztandaru, obok stoi stół na pozłacanych nogach, z prześliczną mozajką. To stół pamiątkowy. Na nim podpisano 3-ci rozbiór Polski.

Ulica Św. Jańska łączy się z Dominikańską. Tutaj stoi kościół dominikański, założony przez Kazimierza Jagiellończyka i klasztor Dominikanów. Duży budynek z korytarzami, przypominającymi średniowieczne refektarze, służył w r. 1849. za więzienie. W klasztornych podziemiach kryli się powstańcy.

Podziemia te są olbrzymie i przejmujące grozą. Co krok — to trumna, szkielety, kości.

W pierwszej krypcie podziemia stoją 3 trumny z 3-ma doskonale utrzymanymi choć niebalsamowanymi ciałami. W dalszych kryptach ciała zakonników, zakonnic, mnóstwo przedmiotów znalezionych w trumnach a przedstawiających wielką naukową wartość. Ukoronowaniem wszystkiego — to Hades. Sama nazwa wskazuje na coś niesamowitego. I rzeczywiście, nieduża, ponura krypta wypełniona jest prawie do połowy szkieletami. Niektóre z nich mają na rękach kajdany. To przejmuje grozą. To mnóstwo szkieletów pochodzi z 3-ch okresów. Pierwsza warstwa jest jeszcze niezbadana, druga pochodzi z czasów zarazy, jakie nawiedziła Wilno, a trzecia — trzecia z czasów powstań. Całe rodziny powstańców skazywano na śmierć i ciała ich wrzucano do krypty. I tak rósł ten stos kości ludzkich, aż zmienił kryptę w jeden okropny grób.

Najwięcej pamiątek mieści w swych murach katedra. Założona przez Jagiełłę spłonęła w 1393. roku, lecz dzięki hojności Witolda odbudowano ją. Wielki książę zbudował przy katedrze kaplicę, w której podziemiach pochowano go obok żony Anny. W bocznej kaplicy katedry stoją na podwyższeniu trzy trumny okryte purpurą. To zwłoki Aleksandra Jagiellończyka i dwu żon Zygmunta Augusta, Elżbiety i Barbary Radziwiłłówny. Mury tej kaplicy pamietają zapewne ów potajemny, okryty cieniem nocy ślub Zygmunta z umiłowaną Barbarą, a teraz mieszczą w swych murach zwłoki tej, którą król polski ośmielił się wbrew woli panów nazwać swoją małżonką. Zwłoki te, a raczej szczątki zwłok, odkopane w r. 1931. w podziemiach, spoczną w krypcie zbudowanej pod kaplicą św. Kazimierza. Jest to najpiękniejsza z kaplic katedry. W ołtarzu kaplicy spoczywa na dwóch srebrnych orłach

trumna ze szczątkami relikwii św, Kazimierza. Po bokach kaplicy stoją marmurowe posągi Jagiellonów i nagrobki Aleksandra Jagiellończyka, Władysława IV. z jego sercem, znalezionym podczas remontu podziemi.

Wszystko to tchnie świetną przeszłością, przenosi wyobraźnię do owych wielkich, jagiellońskich czasów.

W bogatym skarbcu katedralnym mnóstwo pamiątek. Stare kielichy, monstracje lśniące od drogich kamieni, korony królewskie znalezione przy szczątkach zwłok, drogocenne obrazy, dokumenty.

I innych jeszcze mnóstwo kościołów, których piękno i bogactwo opisać się nie da. Na największą uwagę zasługuje kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu. U wejścia do kościoła zuajduje się marmurowa tablica z napisem: „hic iacet peccator". Kim jest ów peccator bez nazwiska i tytułu? To fundator kościoła, pan możny, hetman Michał Kazimierz Pac, który nie szczędził kosztów na ozdobienie kościoła. A ozdoby te, dzieła artystów włoskich Piotra Peretti i Jana Gali są rzeczywiście godne podziwu. W jednym z bocznych ołtarzy kościoła znajduje się cudowna statua Chrystusa. Wieść głosi, że na drewnianej głowie owej statuy wyrosły włosy tak długie, że musiano je obciąć. Od tego czasu już nie odrosły.

Dużo wrażeń i wzruszeń daje cmentarz na Rossie. Wśród rzędów białych grobów żołnierskich — czarna, marmurowa płyta przyciąga wzrok. Przy niej zastygłe w bezruchu postacie żołnierzy — to warta. Na płycie duży złoty napis: „Matka i serce syna". Mało słów, ale dużo treści! Czytającemu te słowa wzruszenie ściska krtań i łzy wyciska spod powiek.

To serce tak drogie dla każdego Polaka, które taką miłością płonęło dla Polski i tak ukochało Wilno, spoczęło wsród wiernych zastępów bohaterskich obrońców miasta...

A potem góra Trzykrzyska z trzema krzyżami postawionymi na pamiątkę umęczenia trzech zakonników za czasów pogańskiej Litwy, góra zamkowa ze szczątkami grodu Giedymina a u jego stóp Wilia z wlewającą się do niej Wilejką.

Całość widziana jak na dłoni z góry Trzykrzyskiej z najbliższymi okolicami uderza swym artystycznym nieładem. Spętane szeregi ulic z charakterystycznymi dla Wilna łukami, wieże kościołów i lśniące kopuły cerkwi, olbrzymie gmachy nowoczesnej konstrukcji obok wąskich starodawnych budowli, a wszystko to przeplecione zielenią drzew i wzgórz — oto obraz Wilna.

Lecz na tym nie koniec. Wakacyjna włóczęga jeszcze nie skończona.

Jeszcze Wigry — to ogromne jezioro o przedziwnym kształcie. Jak głosi legenda — rozgniewany Bóg położył na ziemię Swą wszechmocną rękę i w tym miejscu powstało jezioro. Legenda ta ma swe uzasadnienie w tym, że jezioro ma rzeczywiście kształt ręki — nieregularny wprawdzie, ale widoczny.

To największe z jezior Polski osiąga głębokość 70 metrów i posiada fale niemniejsze od morskich.

A piękna tego jeziora opisać nie można. Aby je należycie ocenić, trzeba tam być, trzeba je widzieć, poznać, zarówno jak cały ten kraj, bogaty w piękno i taką dający moc wrażeń. Trzeba ten kraj pokochać i zrozumieć. W tym leży cała jego tajemnica.

M. Nagawiecka (VIII).

Światła i cienie wielkiego miasta.

(ze wspomnień wakacyjnych)

Zapadał mrok... Na ulice, zatłoczone mrowiem ludzkim, spływał delikatny powiew nocy letniej. Srebrna tarcza księżyca oświecała swym tajemniczym blaskiem tu i ówdzie wierzchołki wież kościelnych.

Było parno... W zgiełk nocy letniej w pewnym momencie wkradł się ryk silnika bujającego w przestworzach samolotu, tworząc piękną symfonię zwycięstwa, śpiewając pieśń triumfu i radości swymi stalowymi płucami w akompaniamencie dzikiego chichotu śmigła. Ten i ów spojrzał niedbale w górę.

Ze zgrzytem sunęły tramwaje, głucho turkotały wozy ciężarowe, cicho, prawie bezszelestnie przesuwały się widma taksówek.

Tajemnicze światło neonów rzucało matowy blask wokoło.

W jakieś kawiarni grała orkiestra dzikiego foxtrotta. Rozbawiony tłum ludzi falował na wszystkie strony.

Ci byli zadowoleni, syci, szczęśliwi.

Lecz w ten powiew nocy lipcowej, w ten powiew szczęścia wkradł się głos, który jak fałszywy ton rozdarł tę melodię radości i zadowolenia.

Był to głos ulicznika. Mały, biedny gazeciarz o wychudłej twarzy, z czarnymi jak węgiel oczyma o niesamowitym blasku, znamionującymi gruźlika. Małe usta raz po raz wykrzykiwały:

„Expres wieczorny! Chwila! Goniec!“

Duże krople potu perliły się na czole. W całej fizjognomii chłopca odbijało się zmęczenie. Drobne rączyny zaciskały się kurczowo koło Expresów i Chwil. Biegł powoli, zataczając się nieraz na przechodniów, nierzadko wywołując przekleństwo.

To były dwa światy...

Ten jeden w kawiarni, wesoły szczęśliwy — a drugi, ten biedny, żyjący na ulicy!

Lwów, 25 sierpnia 1936. *St. Gaspary* (VII).

Z obozowych nastrojów.

Ognisko płonie.

Mrok już zapadł i mgły wieczorne wstały sponad rzeki. Cisza objęła obóz.

W zwartym półkolu gromadki harcerek duży stos suchych gałęzi — za chwilę zapłonie pierwsze ognisko. Oczy wszystkich wpatrzone w mrok, gdzie za chwilę ukaże się złoty płomyk.

Błysk zapałki... trzask płonących gałązek — i słup ognia wznosi się triumfalnie w górę, niesie wysoko... wysoko, hen! ku wyiskrzonemu niebu gwiazdki iskier, a na drzewa lekko poruszane wiatrem, na szare płótna namiotów przycupniętych pomiędzy sosnami rzuca refleksy złocistych połysków.

Chwila ciszy.

Na twarzach oświetlonych płomieniem ogniska osiada cicha zaduma. W oczach utkwionych w ognisko wykwita wzruszenie... snuje się marzenie...

I tyle czaru ma ten cichy wieczór, w kręgu jednego ogniska spędzony, w dużym szumiącym lesie, gdy serca mocniejszym i jednym biją akordem, gdy silniej niż kiedykolwiek czuje się, jak bardzo te szare płótna łączą nas!

Ze ściśniętych wzruszeniem krtani, gdzieś z głębi serca wydobywa się najpierw cicha, potem coraz to potężniejsza pieśń:

„Płonie ognisko i szumią knieje — “

A potem płyną już piosenki, jedna za drugą. Najpierw te smętne, tak nastrojowe, potem te inne, tętniące werwą i młodzieńczym zapałem.

A ognisko płonie...

W wesołym trzasku płonących gałęzi ginie zaduma, w takt miarowego tętna serc harcerskich wybucha żywiołowa pieśń o ogniu, co

wzmacnia nas w sił zapale,
każe nam w życie pogodę nieść
i ciągle dążyć ku wyższej chwale...

o ogniskach wieczornych, z których

wstaje nasza moc,
co grzeje serca
i ściera z nich pleśń
i w dzień zamienia
nawet ciemną noc...

a potem żałosna — o Janicku-zbójnicku, o Jaśku spod Sącza, a z każdą łączy się inna myśl, inne uczucie.

Lecz mrok coraz gęstszy zapada... Powoli cichnie pieśń, ginie wśród drzew.

Na polanie dogasa ognisko.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wieczorny apel.

Odgłos komendy — i suną zastępy, by we wspólnym trudzie jeszcze jeden dzień przeżyty pożegnać razem.

Na miejscu zbiórki, pod wysokim masztem, co wierzchołkiem wystrzela ponad czuby drzew, stają w półkolu harcerki.

Panuje cisza.

Nawet ciche szepty sosen umilkły, wiatr ustał w gałęziach.

Pieśń-modlitwa, krótka w słowach a wielka treścią, płynie wśród ciszy. Z serc wzruszonych płyną mocne słowa.

Znów chwila ciszy.

Z hymnem harcerskim spływa powoli z wysokiego masztu flaga biało-czerwona.

Hejnał: „Idzie noc, słońce już
zeszło z gór, zeszło z pól, zeszło z mórz...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Na szczytach sosen, wśród gałęzi — wszędzie nocna cisza.

M. N. (VIII).

✝

ERNEST ZIEGLER

uczeń VIII. kl. gimn.

Sodalis Marianus i Harcerz

nieodżałowany, najdroższy Kolega,

urodzony dnia 6-go czerwca 1918 r. w Cieszynie, zmarł dnia 14-go lipca 1936 roku, w Eger na Węgrzech.

Cześć Jego pamięci!

Ostała się jeno garść wspomnień...

Na wskróś jesienny, słotny, w szarej kurzawie deszczu i omroki spowity dzień kończył się. Po niebie nisko przewalają się chmury kłębiaste, zimne, tchnące grozą zwoje. Chwilami z rozdzierającym poświstem szarpie je wicher, rozrywa na wszystkie strony, to znów wściekłymi podmuchami skłębia, mierzwi, strumieniami deszczu siecze bezustannie, do głębi przenika ziemię, a drzewa przygięte, jakby życiem zmęczone, w łachmanach opadających liści drżą w niezmiernym bolu. Wśród nagich, odartych, głuchych, czarnych pól hula wicher, tłucze się, miota wśród drętwiejących borów. Ociężałym tumanem wlecze się smutek, przenika świat i ludzi — sięga do dusz drżeniem obawy nadchodzących czasów, nieutuloną tęsknotą za słońcem. Brzęczy po szybach deszcz, jakby kto rzucał w nie garściami piasku, chwilami spływają z szyb duże perliste krople, łzy natury.

Z głową pochyloną, złożoną między dłońmi, siedzę nieruchomo przy biurku, wsłuchany w poszum jesieni. Bezwolne, nie dające się skrępować, płyną fale wspomnień, bezszelestnie w świeże, niezasklepione rany żalu.

Przed oczyma duszy przesuwa się obraz zmarłego kolegi i tak drogiego przyjaciela, fragmenty chwil wspólnie przeżytych.

O czemuż myślą jeno dościgła przeszłość nie wróci !...

Wyłania się wizja przeszłości.

W wilię narodzin Bożej Dzieciny wychodzę zamyślony, pod wrażeniem nabożeństwa „rorat". Zrywa mię srebrzysty mocny głos: „Jaśku, jak się masz?!" Zanim zdołałem się odwrócić, już radośnie objął mię Ernest, przywitał. Wracał również z nabożeństwa, miał ochotę iść na wycieczkę narciarską i szukał kompana.

Spotkaliśmy się o godzinie 10-tej, omówili plan wycieczki — i pojechaliśmy przez górę Plebańską na szczyt góry św. Mikołaja, szczytem zaś tej góry na wieś Bysinę, przez dolinę rzeczki Bysiny na Dalin, a szczytem Dalina na Bukówkę.

Jak cudnie i wartko upływał czas. Początkowo rozmawialiśmy na różne tematy, co chwila wybuchając śmiechem swobodnym. niczem nieskrępowanym wśród przestrzeni bieli i błękitów. Lecz wkrótce urok krajobrazu, czar natury zamknął nam usta podziwem, ogromem wrażeń.

Sunęliśmy cicho po jedwabnej bieli puchów, wśród królewskich alei borów, spowitych w tajemnej omroczy, otulonych białym szalem puchu. Cud słonecznych drgnień, kryształy i tęcze kolorów na cudnych okiściach więżą wzrok w tajemnym podziwie. To znów w szalonym pędzie płyniemy wśród bieli i błękitów, wiatr jeno w przelocie smaga twarz i łzawi oczy, dławi oddech w piersi nabrzmiałej szczęściem. Przestrzeni nam trzeba, oddechu.

Tak dziwnie dobrze było nam ze sobą, mimo że mało rozmawialiśmy, rozumieliśmy się nadto dobrze. Szczere, jasne, otwarte spojrzenia, przepełnione braterskim uczuciem, więcej mówiły niż słowa.

Zjeżdżając z Bukówki w kierunku Jawornika, a potem pnąc się na górę Szubienną, zaczęliśmy wspominać dawne czasy. Od III. kl. szkoły powszechnej znaliśmy się. Siedzieliśmy wtedy w jednej ławce. Obaj żywi, nieokiełzani byliśmy powodem częstych nieporozumień z naszą panią wychowawczynią. Ze wzruszeniem przypomnieliśmy sobie, jak raz, gdy już miara cierpliwości naszej dobrej i bardzo nas lubiącej wychowawczyni pani Boryczkowej zanadto się przebrała, dostaliśmy „na łapę" uczciwie, za wszystkie czasy. Niemal każdą wilię Bożego Narodzenia spędzaliśmy razem na łyżwach, na saneczkach, na nartach, a jeśli pogoda nie sprzyjała, graliśmy w szachy lub ping-pong.

Minęła już 4-ta godzina po południu, szybko zapadał zmrok. Przez Polankę i Szubienną z żalem wracamy do domu. Chwytał krzepko mróz. Na ziemię spływał pogodny, uroczysty nastrój. Mijamy chatki, w zamrożonych oknach główki dzieci pilnie wypatrują na niebie pierwszej gwiazdki, zwiastunki Narodzin Bożej Dzieciny.

Z żalem żegnamy się obok Jego domku. Przeżyliśmy razem taki cudny i radosny dzień bez trosk, a dni takich tak mało w życiu i coraz mniej. Ernest objął mnie mocnym uściskiem stalowych ramion, zapukały mocno do siebie serca uczuciem silnej, braterskiej miłości, przyjaźni niezłomnej, co zdolna łamać zwycięsko granity przeszkód, budować wielkie dzieło — przyjaźń, którą jeno Bóg tu na ziemi przeciąć może.

Cichym, wzruszonym szeptem, by nie płoszyć nastroju, składamy sobie życzenia, słyszę dziś jeszcze końcowe Jego słowa: — „Daj Ci Boże szczęścia, Jaśku, jak najwięcej w życiu, błogosław Ci Boże, da Pan Bóg, spędzimy przyszłą wilię znów razem, może powtórzy się dzień dzisiejszy!..."

— — — — — — — — — — — — — — — —

Czemuż tak szybko pryska szczęście, rozwiewają się ułudy, nadzieje, marzenia, na których urzeczywistnieniu tak bardzo nam zależy?... Jakaś natrętna łza zalśniła w oku.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Kończył się cudny Maj, uroczy królewicz Wiosny.

Ostatnie, zaczerwienione promienie słońca przecudnie rozzłacały okolicę Lubnia. Oddział junaków P.W., uczniów gimnazjum, odbywał tam czterodniowe ćwiczenia wojskowe. Z leszczynowego lasku, otulającego pieściwie żywą, srebrzystą wstęgę Raby, wyszła gromadka młodzieńców, obejmujących się ramionami. Biło od nich życie beztroskie, radosne. Wszyscy czarni, jeden o kędzierzawej płowej czuprynce. Wracali z odświeżającego spaceru po znojnym dniu i wieczerzy, nucąc pogodną piosenkę.

Z pobliskiej wioski niósł powiew wietrzyka melodię dzwonnej modlitwy na Anioł Pański. Szła melodia cicha, głęboka w swym wyrazie, kołysała łagodnie falujące łany zbóż, szemrała wśród lasów, serca ludzkie porywała ku modlitwie, aż bogata i potężna znikła gdzieś w nieboskłonie, w kornym hołdzie u stóp Stwórcy.

Chłopcy zatrzymali się, spoważnieli zasłuchani w melodię dzwonu.

Delikatnie trącił mię Ernest i nieśmiało powiedział: „Mija miesiąc Marii, jest tu nas kilku sodalisów, pomóż mi, skrzykniemy wiarę i zaśpiewamy Matce Najświętszej na chwałę i uwielbienie".

Za chwilę wzniosła się w niebo potężna melodia Maryjnych pieśni z kilkudziesięciu młodych piersi.

Obok mnie stał Ernest, spojrzałem mimowoli na niego. Stał prosty, smukły. Wzrok jego jasny, dobry dla wszystkich, głęboki, posiadający siłę nakazu dobrego czynu, teraz poważny tkwił gdzieś w dali, spokojny, u końca swego przeznaczenia. Wietrzyk pieściwie igrał kędzierzawą płową czupryną, okalającą pogodne wysokie czoło, szeleścił na ustach, rozchylonych melodią modlitwy duszy. Oblicze smagłe, szczere, otwarte. Sylwetka muskularna, smukła. W obliczu tym jasno odzwierciedlała się dusza tego młodzieńca, pobożna i czysta, pogodna i pełna miłości bliźniego i Ojczyzny. On nigdy nikogo nie skrzywdził a wielu dopomógł. Nic dziwnego, że zyskał sobie sympatię profesorów i gorącą miłość i przyjaźń współkolegów.

— — — — — — — — — — — — — — — —

W łagodny czerwcowy wieczór gromadka najbliższych kolegów żegna Ernesta. Jedzie na wakacje na Węgry, by odwiedzić rodzinę, zobaczyć szeroki świat, zabawić się, odpocząć. Ostatnie uściski — krzyżują się słowa, życzenia szczęścia w podróży. „Wrócę napewno, przywiozę wam pamiątki i pozdrowienia z uroczej ojczyzny mojego Ojca. Bądźcie zdrowi, a wspomnijcie życzliwie"...

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Głucho rozpoczął się rok szkolny. Zajęto wszystkie miejsca w ławkach. Tylko do siódmej ławki od okna nikt nie siada, puste miejsce czeka na Ernesta Zieglera. Smutny, w głuchym bolesnym pogrążony wspomnieniu siedzi sam Jego towarzysz z ławy szkolnej...

Pan Bóg powołał Go do chwały Swojej z naszego grona w osiemnastej zaledwie wiośnie życia.

Nie rozebrzmi głos Jego srebrzysty na pauzie, nie rozweseli nas na wycieczce. Nie zagra w reprezentacji klasy na lewym skrzydle. Nie zagra w reprezentacji gimnazjum w siatkówce. Nie będzie mógł bronić tytułu mistrza miasta Myślenic w tennisie. Sodalicja straciła swego skarbnika i gorliwego członka, od lat zbieracza znaczków pocztowych na cele misyjne, harcerstwo zastępowego III. zastępu „Jeleni".

Spojrzenia koleżanek i kolegów, przepojone żalem i bezsilnym smutkiem, kierują się w dal. Twarze przygnębione boleścią zdają się mówić: „O Boże! tylu złych ludzi żyje na świecie, czemu tak wcześnie wziąłeś właśnie jego?... Taki był dobry, szlachetny. Zakrwawione serca nasze, okryte żałobą“...

O Boże! Ty jednak wiesz, co czynisz. Nie możesz uczynić źle nikomu, bo Sam o Sobie powiedziałeś: Jam jest Miłością.

Bądź Wola Twoja!

Jan Konieczny (VIII).

Wesoły kącik.

Et haec olim meminisse iuvabit.

(wspomnienia maturzysty)

Matura przyśpieszona! Te dwa słowa elektryzują abiturienta. Z góry na dół przebiega po nim coś w rodzaju elektryczności. Lecz wrażenie to, choć miało wysokie napięcie, szybko przemija podobnie jak elektryczność atmosferyczna.

Abiturient siedzi w klasie myśląc, co będzie robił po maturze, a tu mu kładą do głowy ostatnie szufle wiedzy. Co gorsza, każdy uczący twierdzi, że jego przedmiot jest najważniejszy.

I tak praprawnuk Romulusa twierdzi, że najważniejsza to „łacina“. Naturalnie — mówią, że jest martwa a tymczasem powszechnie używają jej na teologii, medycynie, prawie i t. d. „To wam nic nie pomoże, to musicie umieć jak amen w pacierzu“. Potem przy maturze powie taki bencwał: „nie godoł!“

Tak pokrzepieni czekamy, co będzie dalej. Na drugą godzinę przychodzi kuzyn Ampera i objaśnia nam, jak to jest przy maturze, „Przy maturze to trzeba gadać, tam przecież są ludzie i pan dyrektor. Ja — znaczy — za was matury nie będę zdawał. Dam de facto pytanie i znaczy koniec. A cóż wy sobie myślicie?! Co?!“

Na następną godzinę przychodzi krewniak owego słynnego Bartosza spod Racławic i uroczyście oznajmia: „Panowie! korelacja! A mówiłem stale: chłopy robić — robić chłopy! Nie zdążymy — nie zdążymy!“

I tak zleciały ostatnie godziny, że nawet człowiek nie spostrzegł, jak ogłoszono nam, że wszyscy dopuszczeni. Nastąpiło pewne podniesienie na duchu.

Lecz odtąd zaczyna się istna epopeja trudów. Do przebycia jest Scylla pisemna i Charybda ustna. Z jednej strony zapewnia Władza, że matura to nic strasznego, a z drugiej przyprawia jej ogon i rogi, robiąc z niej potwora nie do pokonania.

Każdy abiturient za 12 zł. otrzymał czasowo 16 m^2 powierzchni w sali Strażnicy, stolik, krzesło i bibułę. Strażnica zamieniła się na czas pisemnego egzaminu w istną Berezę studencką. Okna i drzwi szczelnie zamknięte. U wejścia na strych cerber, a pod wentylatorem emanacja Nowosilcowa. Za kiwnięcie palcem nazwisko twe jest wzywane nadaremnie. Na sali cisza, tylko szelest piór.

Ani mru mru — cicho wszędzie,
Rycie będzie — lanie będzie.

Myśl ta jak zły duch prześladowała nas. Jedyną pociechą był dla nas słynny „pan Jan", który oświadczył, że tego roku będzie przez palce patrzył; a widząc tremę u jednego z nas, pocieszył go słowami: „Pani — my tu nie takich osłów puszczali".

Po kilku dniach prasa zakratkowa donosi, że niestety Scylla pochłonęła 7 ofiar, a 4 ciężko zraniła. Z rannych — dzięki Bogu — wszyscy wyzdrowieli i przeszli Charybdę. Aktualne są obecnie dla nich słowa Eneasza:

„O socii, neque enim ignari sumus ante malorum", co się wykłada na polskie:

„O towarzysze ławy szkolnej, podobni jesteście do gońca,
który jak „Farys" przez tyle przeszkód
Dobiegł do końca".

Stanisław Strzałkowski.

Od redakcji: Resztę nadesłanych utworów odkładamy z braku miejsca do najbliższego numeru.

Komisja redakcyjna: *Mieczysława Nagawiecka, Zofja Polończykówna, Jan Konieczny, Renata Hirkawska, St. Kiczmal.*
Opiekun: *prof. Ludwik Werschler.*

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 20.